Nr. 6. Kraków, dnia 15 Marca 1897. Rocznik II.

Adres
Redakcyi i Administracyi
I. piętro.

Wszelkie
Listy i przesyłki pieniężne adresować należy do Redakcyi lub Administracyi ulica Floryańska L. 55, I. piętro.

Rękopisów nie zwraca się.

Listów nieopłaconych nie przyjmuje się.

Listy reklamacyjne nieopieczętowane nie podlegają opłacie pocztowej.

Kuryer Kolejowy
Organ galicyjskich kolejarzy.

Prenumerata wynosi:

W Krakowie: (bez odsyłki)
rocznie . . . . 1 złr. 20 c.
półrocznie . . — „ 60 „
kwartalnie . . — „ 30 „

W Austryi:
rocznie . . . . 1 złr. 40 ct.
półrocznie . . — „ 70 „
kwartalnie . . — „ 35 „

W Niemczech:
rocznie . . . . 3 marki.

We Francyi:
rocznie . . . . 5 franków

Numer pojedynczy 5 ct.

Do nabycia w Krakowie w Biurze dzienników Plac Maryacki L. 2.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

W Imieniu Jego Cesarskiej Mości!

L. 3045. C. k. Sąd krajowy jako prasowy na wniosek c. k. Prokuratora Państwa w myśl § 493 pk. orzekł, że treść artykułu z napisem „Kronika“ umieszczonego w Nrze 3. „Kuryera kolejowego“ z daty Kraków 1 lutego 1897 w ustępie od słów „za to że był“ do.... „wyższej władzy“ na stronicy 4. w łamie 3 stanowi przedmiotową istotę występku z § 300 uk. i dalsze rozszerzanie inkryminowanego ustępu zostaje wzbronione, albowiem autor w tym ustępie przez łżenie stara się pobudzić do nienawiści i pogardy przeciw c. k. Starostwu rzeszowskiemu i przeciw c. k. Dyrekcyi kolei państwowej odnośnie do ich czynności urzędowych, w czem mieszczą się znamiona występku z § 300 uk.

C. k. Sąd krajowy karny

Kraków dnia 5 lutego 1897. *Morelowski.*

Od Redakcyi.

Towarzysze! Kolejarze! Prosimy Was o nadsyłanie nam wszelkich wiadomości ze stosunków kolejowych do umieszczenia w „Kuryerze“. Obowiązkiem Waszym jest donosić nam o każdem nadużyciu władzy, o każdym wybryku przełożonych, abyśmy mogli te wszystkie postępki oddać pod pręgierz opinii publicznej. Nie bójcie się żadnych sekatur i prześladowań ze strony tych, których napiętnujemy w naszem piśmie. Za wszystko odpowiada redakcya, a wy tylko, towarzysze, powinniście donosić prawdziwe fakty i podpisać się na liście. Nie możemy bowiem przyjmować listów anonimowych, gdyż nie dają one rękojmi, że podane w liście wypadki są prawdziwe. Nazwisko towarzysza, który do nas pisze, pozostaje tajemnicą redakcyi, nie ma więc najmniejszej obawy, aby się nie dostało do wiadomości władzy.

Nadto prosimy Was, towarzysze, o opisywanie stosunków, panujących tam, gdzie kto pracuje: a więc jaka jest praca, jak długo trwa, jaka zapłata, ilu robotników itd. itd. Jestto bowiem dla nas rzecz bardzo ważna, aby „Kuryer Kolejowy“ przedstawiał dokładny obraz stosunków kolejowych w całym kraju. W ten sposób, towarzysze, będziemy mogli dać wszystkim dokładne pojęcie o tym strasznym wyzysku, jakiemu podlegają robotnicy kolejowi. A więc nie żałujcie chwili czasu i donoście o wszystkiem Waszemu pismu zawodowemu.

Od Administracyi.

Z numerem niniejszym kończy się pierwszy kwartał naszego wydawnictwa, wszystkich zatem prenumeratorów kwartalnych upraszamy o odnowienie przedpłaty, której warunki znajdują się w nagłówku.

Nabywać można również kompletne roczniki naszego pisma po cenie 1 złr. 20 ct. wraz z przesyłką pocztową.

Piekące kwestye.

Nie trzeba być nawet kolejarzem, aby uznać, że stosunki, wśród których żyje kolejarz, są wprost nieznośne. Poruszaliśmy już nieraz najważniejsze kwestye z życia robotników kolejowych, podawaliśmy już nieraz żądania nasze w tych kwestyach, których spełnienia domagamy się od państwa.

W przyszłym parlamencie będziemy już mieli własnych posłów, których obowiązkiem będzie przedstawiać nasze postulaty. To też, choć znamy już dobrze wady urządzeń kolejowych, choć wiemy również, jak je zmienić należy, nie od rzeczy będzie dziś właśnie poruszyć jeszcze raz to, co nam najwięcej dolega, aby naszym posłom przypomnieć ich obowiązki względem kolejarzy.

I naturalnie na pierwszym punkcie postawimy kwestyę najgłówniejszą, źródło wszelkiego zła, wszelkich nieszczęść i dolegliwości: nadmiernie długi czas roboczy. Dziś niema drugiego zawodu, w którymby ludzie tak ciężko i długo pracowali, w którymby człowiek tak bardzo podobnym był bydlęciu roboczemu, jak właśnie nasz zawód, kolejarzy. Można powiedzieć śmiało, że nie istnieje w Austryi ani jedna kategorya robotników kolejowych, któraby miała czas pracy, godny istoty ludzkiej. Są to stosunki rzeczywiście potworne. Gdziekolwiek się zwrócimy, do jakiej gałęzi pracy kolejowych, wszędzie znajdziemy jeden straszny fakt dręczenia ludzi zadługą pracą, jeden straszny obraz wynędznienia fizycznego i moralnego, najzupełniejszego wycieńczenia sił żywotnych.

Weźmy np. podurzędnika, kierownika lokomotywy lub jakiego innego, i przypatrzmy się warunkom jego pracy. Oto np. jakiś podurzędnik, pracujący na stacyi, nie różni się niczem co do czynności swoich od zwyczajnego urzędnika. Praca jego jest ta sama, trwa z reguły 24 godzin, a płaca wynosi najwięcej 800 złr. rocznie. Jestto w istocie rzecz niezrozumiała: dlaczego ci ludzie za tę samą pracę mają otrzymywać niższą zapłatę, niż inni? Zarządy kolejowe powinny w tej sprawie stanowczo jakąś zmianę zaprowadzić: należy tych podurzędników albo zrobić urzędnikami, albo im płacę stosownie podwyższyć.

Albo znowu przejdźmy do personalu lokomotywy. Tu czas pracy jest nieograniczony; można powiedzieć, że co do tej kategoryi przepisy mówią, iż praca ma trwać tak długo, jak długo wymaga tego służba, czyli dopóki sił człowiekowi starczy. To też spotykamy tu wypadki, że pracuje się bez przerwy 36 godzin, poczem następuje 3 lub 4-godzinny wypoczynek! Tak pracują ludzie, na których barkach spoczywa cała odpowiedzialność za bezpieczeństwo pociągu i podróżnych. Czyż wobec tego można uważać jazdę na austryackich kolejach za bezpieczną? A jeśli ilość nieszczęśliwych wypadków jest przecież stosunkowo niewielka, to zasługa ta leży po stronie samego personalu, a nie tych, którzy za to otrzymują często nagrodę, kierując niby z kancelaryi całym ruchem.

A ci robotnicy, którzy w rozmaitym charakterze towarzyszą pociągowi? Praca ich przeciąga się nieraz do 20 lub 26 godzin, a płaca należy może do najniższych. Nie dziwnego naturalnie, że ci ludzie nie mogą gdzieś w 16, 20 lub nawet 26-ej godzinie jazdy zachować ciągle tę samą bystrość umysłu, tę samą uwagę i przytomność, nie mogą słowem pilnować tego wszystkiego, za co ich czyni odpowiedzialnymi instrukcya służbowa. A potem, kiedy oni ulegają tylko zupełnie naturalnemu procesowi zmęczenia, kiedy coś przeoczą i staną się przez to bezpośrednią przyczyną nieszczęścia, pociąga ich prokurator państwa do odpowiedzialności sądowej, sędzia zamyka ich do kryminału, a zarząd kolei karze ze swej strony, często bardzo surowo. Na nich więc skrupia się wszystko, a pytamy, czy oni rzeczywiście są winni?

Toż samo ujrzymy wśród służby kolejowej, zajętej na stacyach. Podlegają oni zupełnie samowoli przełożonych, którzy okazują często nieludzką bezwzględność! Mamy u nas, w Galicyi, takie wypadki, gdzie obok pracy zawodowej naczelnik ma śmiałość żądać od robotnika usług prywatnych. Noszenie wody dla p. naczelnika lub p. naczelnikowej, pędzenie do sąsiedniego miasta po jakieś sprawunki stają się coraz częstszemi objawami, przeciwko którym jak najsilniej należy protestować. Za odmówienie takiej „usługi“ może nastąpić naturalnie dotkliwa kara pieniężna, lub nawet wypowiedzenie, — przyczem, jako powód, podaje się zawsze zaniedbanie służby lub nieudolność.

Gerhart Hauptmann.

DRÓŻNIK THIEL.

(Ciąg dalszy).

Thiel zerwał czapkę z głowy; deszcz sprawiał mu ulgę, mieszając się ze łzami, ściekał po jego twarzy. Mózg przerabiał niejasne a goniące się wzajem wspomnienia sennych widziadeł. We śnie wydało mu się, jakoby ktoś znęcał się nad Tobiaszkiem, a to w sposób tak straszny, że na myśl o tem i teraz jeszcze krew w żyłach mu zamierała. Inną postać przypominał sobie wyraźniej. Widział żonę nieboszczkę, która nadeszła skądś — zdaleka, idąc wciąż po torze, wyglądała chorowicie, zamiast sukien miała na sobie łachmany. Minęła budkę Thiela, nie oglądając się nawet za nią, wreszcie — tu wspomnienie bladło — z wielkim trudem zaczęła kroczyć dalej, potknąwszy się kilkakrotnie. Thiel natężył myśl i wymiarkował sobie, że uciekła. Tak, bez wątpienia, bo i dlaczegóż w przeciwnym razie spoglądałaby z taką trwogą za siebie, i wlokła się dalej, mimo że nogi usług już odmawiały. Ach, te straszne spojrzenia!

A w rękach niosła jeszcze coś chustami zwiniętego, coś wiotkiego, krwawego, bladego, wzrok zaś, jakim na to spozierała, przypominał mu sceny z przeszłości.

Przypominał mu konającą kobietę, która nieruchomie patrzyła na ledwie zrodzone dziecię swoje z wyrazem najgłębszego bólu, niezmierzonej męki, z takim wyrazem, że Thiel nie mógł go zapomnieć, zarówno jak ojca i matki. Gdzie zniknęła? Nie wiedział; pojmował tylko jasno, że się go wyrzekła, że go wyminęła, powlókłszy się dalej w ciemną, burzliwą noc. Wołał ją: „Minno, Minno!“ — i zbudził się.

Dwa krągłe, czerwone światła, niby wytrzeszczone ślepie olbrzymiego potworu, przeszyły ciemności. Szedł od nich krwawy cień, który w obrębie swoim krople deszczu na krople krwi zmieniał. Zdawało się, jakoby nie deszcz, lecz krew padała z nieba.

Thiel stał przerażony, a lęk jego rósł w miarę zbliżania się pociągu; sen i rzeczywistość zlewały się w jedno. Wciąż jeszcze widział kobietę, kroczącą po szynach, ręką szukał ładownicy, jak gdyby zamierzał wstrzymać w biegu pędzący z szalonym pośpiechem pociąg. Na szczęście było za późno, bo już przed oczami jego zamigotały światła i pociąg piorunem minął.

Pozostałą część nocy Thiel spędził niespokojnie. Ciągnęło go coś do domu. Tęsknił za Tobiaszkiem. Zdawało mu się, jak gdyby od lat wielu z dzieckiem był rozłączony, wreszcie wśród rosnącej obawy o zdrowie chłopca kilkakrotnie chciał opuścić służbę.

Aby czas zabić, postanowił zbadać tor, gdy tylko świtać zacznie. Wkrótce też z kijem w lewej ręce, z długim kluczem szrubowym — w prawej, zaczął chodzić po szynie, przedzierając się przez brudno-szary zmrok.

Deszcz i wiatr ucichły, z pośród rozdartych chmur przezierał tu i owdzie szmat blado-błękitnego nieba.

Monotonne uderzenia butów o twardy metal w połączeniu z sennym szumem otrząsających się z wody drzew powoli uspokoiły Thiela.

O szóstej rano zwolniono go, bezzwłocznie też skierował się ku domowi.

Wschodził przepyszny poranek niedzielny, chmury rozpłynęły się, zasłonięte skrajem widnokręgu. Słońce, niby olbrzymi, jak krew purpurowy kamień, rzucało istne masy światła na gęstwinę. Snopy promieni wdzierały się ostremi liniami w gąszcz konarów, już to żarem obrzucając kępkę delikatnych paproci, o liściu do cienkich koronek podobnym, już srebrzysto-szare mchy zmieniając na korale.

Z wierzchołków pni i traw płynęła ognista barwy rosa. Potop świetlny zalewał ziemię. Była w powietrzu świeżość, która aż do serca wnikała: to też i w wyobraźni Thiela nocne widziadła powoli, stopniowo zbledną musiały.

Z chwilą zaś, gdy wszedłszy do pokoju zobaczył Tobiaszka w łóżeczku, przez słońce opromienionem, z więcej, niż zazwyczaj, zarumienioną twarzyczką, widziadła owe pierzchły zupełnie.

Prawda! W przeciągu dnia kilkakrotnie wydał się Lenie trochę dziwnym. Tak naprzykład w kościele, gdzie zamiast w książkę, z pod oka na nią spoglądał; potem i w południe, gdy słowa nie mówiąc, zdjął z rąk małego Tobiaszka, którego, jak zwykle, wynieść miał właśnie na ulicę i na jej kolanach posadził. Zresztą był takim, jak zawsze.

Thiel, który w dzień nie spał wcale, o dziewiątej już położył się do łóżka. Zasypiał właśnie, gdy żona oświadczyła mu, że nazajutrz

A strażnicy kolejowi? Czyż mamy powtarzać to i uogólniać, cośmy już tyle razy najjaskrawszemi ilustrowali przykładami? Taż to niewolnicy, nie ludzie wolni, którzy mogą sobą rozporządzać! Są tacy strażnicy, którzy na 20—40 lat służby mieli zaledwie 20 dni wolnych! Jeżeli już nic innego, to choćby tylko wygląd tych nowoczesnych murzynów, nazywających się „strażnikami" jednej z najnowszych zdobyczy cywilizacyjnych, powinienby wszystkich przekonać o konieczności skrócenia czasu pracy.

I tak każdy rodzaj robotników ma jednę i tę samą jątrzącą się ciągle ranę: potwornie długi czas pracy we wszystkich kategoryach, połączony z niską płacą, tworzy z robotników kolejowych, z państwowych robotników — ludzi, którzy częstokroć, nędzą zmuszeni, dopuszczają się kradzieży! Toż liczne są wypadki, gdzie strażnicy kolejowi lub inna niższa kategorya robotników stacyjnych musiała odpowiadać przed sądem za kradzież kilku bułek. I pytamy raz jeszcze, kto tu jest winnym?

Drugą piekącą kwestyą, łączącą się ściśle z przydługim dniem roboczym, jest kwestya wypoczynku. Jestto żądaniem nietylko nauki, ale już wprost zdrowego rozsądku, aby ludziom, którzy pracują, dać przynajmniej jeden dzień w tygodniu na wypoczynek. Wszystkie inne zawody, po mniej lub więcej uciążliwej walce, zdobyły sobie kilkanaście godzin tygodniowo wypoczynku. My dotąd tego nie mamy, dla nas nie istnieje niedziela, nie istnieje odpoczynek po pracy! Państwo, które głosi, że jest chrześciańskiem, że musi dbać o moralność i religijność swoich obywateli, nie daje swoim robotnikom ani jednego dnia wolnego! Powiadają nam, że to się nie da zrobić, że to niemożliwe, bo ruch musi trwać ciągle itp. My na to jedną mamy odpowiedź: gotowiśmy nawet sami ułożyć odpowiedni turnus dla kolei, gdyby tylko rząd oświadczył, że chce nam dać żądany wypoczynek. Przedsiębiorcy również nie mogli pojąć tego, jak można zaprzestać pracy na 24 lub 36 godzin, jak można zamknąć sklepy w niedzielę itd., a przecież musieli nareszcie przyzwyczaić się do tego i zrozumieć, że to rzecz nie tak trudna, jakby się zdawało.

Nie mówimy zresztą, aby wszyscy robotnicy musieli koniecznie w niedzielę mieć wolny czas; mógłby to być każdy inny dzień w tygodniu, byleby zasada 36-godzinnego spoczynku była zachowana. I prędzej czy później zarządy kolejowe będą zmuszone zgodzić się na to nasze żądanie, będą musiały ustąpić przed postulatem zdrowego rozsądku.

Kolejarze w żądaniach swoich są bardzo skromni. Rezolucya, uchwalona na kongresie, powiada wyraźnie, że co do czasu pracy, to żąda naprzód przejściowego 10-godzinnego dnia roboczego, zanim się ustanowi 8 godzin. My wiemy bardzo dobrze, że gwałtownych zmian zaprowadzić odrazu nie można. Jesteśmy skromni, ale też od tych skromnych żądań ustąpić nie myślimy. Zadaniem naszych posłów będzie dopomódz nam w parlamencie i obroną naszych żądań wesprzeć nas w tej długiej i trudnej walce.

PRZEGLĄD.

Wybory skończone. Minęły dni gorącej agitacyi wyborczej, dni ciągłej walki i niepewności; dziś już możemy z dumą spoglądać na wynik naszej pracy. Bez przesady, bez zbytniej pychy możemy sobie śmiało powiedzieć, żeśmy odnieśli na całej linii ogromne zwycięstwo. Mamy już obecnie dwóch posłów polskich, którzy do Koła polskiego za nic w świecie nie wstąpią, a temsamem zadadzą kłam tym bezczelnie rzucanym frazesom naszych szlachciców i „demokratów", że oni stanowią reprezentacyę narodu polskiego. W tem leży ogromna doniosłość naszego zwycięstwa, w tej możności zaprotestowania tam, w parlamencie, przed całym światem przeciwko wszystkim kłamstwom i oszczerstwom Koła polskiego. W przyszłej sesyi parlamentarnej żaden Wodzicki ani Szczepanowski nie odważy się twierdzić, że oni tylko mogą mówić o Galicyi, bo oni ją tylko znają — będą już tam naoczni świadkowie wszystkich gwałtów galicyjskiej szlachty, wszystkich jej nadużyć i zbrodni. Niech nam nikt nie mówi, że dwa mandaty na Galicyą za mało: przypomnijmy sobie tylko te nadzwyczajne trudności, z jakiemi my tutaj walczyć musimy, przypomnijmy sobie, że u nas rządzi polska szlachta, że ta szlachta ma na zawołanie wojsko i żandarmów austryackich, — a będziemy musieli przyznać, że zwycięstwo jest wielkie. Robotnicy galicyjscy mogą być prawdziwie dumni, że pomimo wszelkich niecnych przekupstw i nadużyć, pomimo krwawych nawet gwałtów potrafili zdobyć sobie dwa mandaty w dwóch stolicach kraju. A choć partya nasza poniosła we Wiedniu dosyć przykrą klęskę, to i tak przyszły parlament będzie miał w swojem łonie kilkunastu posłów socyalistycznych, kilkunastu szczerych obrońców ludu, którzy na każdym kroku strzedz będą jego dobra i niestrudzenie walczyć z jego wrogami. Tam, gdzie dotąd nie mieliśmy ani jednego głosu, tam, gdzie można było dotąd bezkarnie ciskać na nas obelgi i oszczerstwa, będziemy mieli teraz ludzi, którzy każdą krzywdę naszą wytoczą przed forum publiczne, każdy gwałt i nadużycie napiętnują śmiało i otwarcie, każdego kroku rządu i szlachty pilnować będą i patrzyć im na palce. Takie są owoce naszej walki wyborczej, takie owoce naszego zwycięstwa. Ale żadne, nawet największe zwycięstwo, nie może nas zaślepić: nam nie wolno odpoczywać na laurach, nam ciągle naprzód trzeba iść i walczyć. Zwycięstwo, któreśmy odnieśli, będzie nam tylko zachętą do dalszej pracy. Zagrzani tryumfem pójdziemy śmiało dalej z jednem pragnieniem, z jednym okrzykiem:

Niech żyje socyalna demokracya!

Wynik wyborów z V kuryi przedstawia się następująco: w Czechach wybrano 7 socyalistów, na Morawach 2, na Śląsku 1, w Galicyi 2. Nadto przeprowadzone będą ściślejsze wybory: na Morawach w Bernie, w Czechach w Pradze (między młodoczechem a socyalistą) i w Gracu (w Styryi) (między chrześciańskim socyalistą a socyalno-demokratą).

We Wiedniu nie przeszedł ani jeden socyalista; wszystkie okręgi wpadły w ręce antysemitów. Nie należy jednak z tego powodu sądzić, jakoby rzeczywiście partya nasza we Wiedniu była tak słabą i ci wszyscy, którzy tryumfują z powodu tej klęski, za wcześnie się cieszą. Wprawdzie nie da się zaprzeczyć, że płytki ruch antysemicki, zasadzający się na bezmyślnem czczeniu Luegera, ma jeszcze bardzo dużo zwolenników wśród ludności wiedeńskiej, ale zwycięstwo swoje zawdzięczają antysemici ogromnym szwindlom, jakie z systematyczną bezczelnością popełnili podczas wyborów. Mając radę miejską w swoich rękach, obsadzili wszystkie komisye wyborcze swoimi zwolennikami, a nie dopuścili ani jednego przedstawiciela robotników. Można więc sobie wyobrazić, co się tam działo w tych komisyach, antysemiccy wyborcy głosowali po kilka razy, antysemickie głosy były naturalnie z reguły wszystkie ważne: przekupstwo i szachrajstwo przemieniło się w prawdziwą orgię, odgrywającą się publicznie wśród mnóstwa ludzi. Obok tego antysemici zrobili jeszcze przed wyborami wszystko, aby jak najwięcej socyalistów pozbawić głosu, nie wydawano im kart, odrzucano z zasady wszystkie reklamacye, słowem szwindlowano, gdzie się dało. Taka jest treść zwycięstwa antysemitów: głupota ludzi, szachrajstwo, przekupstwo... A przytem wszystkiem socyalna demokracya uzyskała imponującą liczbę 88.000 głosów, między któremi prawie każdy oznacza szczerego wyznawcę zasad socyalistycznych, szczerego zwolennika prawdy i słuszności. Czyż wobec tego klęska ta nie jest tylko pozorną? Czyż nasi towarzysze wiedeńscy nie odnieśli moralnego zwycięstwa? Osądźcie sami.

Proces o ks. Stojałowskiego. Pisaliśmy swojego czasu o ucieczce ks. Stojałowskiego z Nowego Sącza, kiedy to żandarm chciał go aresztować. Wiadomo również towarzyszom naszym, jak gorliwie potem dyrekcya krakowska śledziła tych kolejarzy, co rzekomo popełnili „zbrodnię oporu przeciwko władzom", dopomagając ks. Stojałowskiemu w ucieczce. Obecnie cała sprawa została nareszcie ukończoną. W Sączu odbyła się kilkudniowa rozprawa przeciwko kilku robotnikom kolejowym, których na podstawie powikłanych zeznań żandarmeryi oskarżono o przyczynienie się do ucieczki księdza-agitatora. Rozprawa wykazała kilka ciekawych punktów. I tak, jako świadkowie zeznawali dwaj konduktorzy Muza i Szymański (towarzysze sądeccy powinni ich sobie dobrze zapamiętać), którzy podsłuchiwali poufne rozmowy obwinionych, sami zadawali się z nimi w pogawędki, a potem o wszystkiem donieśli p. Kolosvary'emu i to w tym celu, aby siebie uchronić od podejrzenia. Żandarmi zeznawali bardzo bałamutnie. Jeden twierdzi, że widział wówczas na dworcu konduktora Stojakowskiego, podczas gdy wszyscy inni świadkowie zeznają, że Stojakowski w dzień ucieczki Stojałowskiego leżał w łóżku chory. Ciekawe są zeznania jednego „przyjaźniaka", Serczyckiego. Jestto także jeden z tych, którzy donieśli sądowi o całej sprawie. Jeden z kolejarzy świadków opowiada, że z Serczyckim nikt nie chce żyć, każdy go unika, jak zapowietrzonego itd. Rozprawa skończyła się w sobotę. Wszyscy oskarżeni, z wyjątkiem dwóch konduktorów, zostali uwolnieni, ci dwaj zostali skazani każdy na 5 dni aresztu za nieuwagę. I pokazało się z wyniku rozprawy, że ci ludzie byli niewinni, że ich niewinnie trzymano kilka miesięcy w więzieniu śledczem za to tylko, że byli przypadkowo świadkami ucieczki księdza, którego żandarm chciał aresztować. Kilka miesięcy więzienia, stracony zarobek, sterane zdrowie, nędza i rozpacz tylu rodzin — oto owoce pracy świetnej dyrekcyi krakowskiej. Ona to bowiem dała początek całej tej sprawie, wysyłając znanego Abdermana na przeszpiegi i nie spoczęła, aż znalazła ofiary swojej szpiclowskiej duszy. Ludzie, którzy mienią się „przełożonymi" i prawią dużo o swojej „ojcowskiej pieczołowitości" względem robotników — stają się w ten sposób pośrednikami między swoimi „podwładnymi" a — więzieniem! Wyrok, uniewinniający oskarżonych, jest zarazem

---

z nim razem pójdzie do lasu, aby ziemię obrobić i kartofle zasadzić.

Thiel drgnął; sen uciekł mu z powiek, oczu jednak nie otwierał.

— Wielki już czas — mówiła Lena — jeżeli ziemniaki te wogóle mają być na coś zdatne; dzieci zabrać trzeba, ponieważ prawdopodobnie cały dzień na pracy tej zejdzie.

Dróżnik bąknął kilka niezrozumiałych słów, na które ona zupełnie uwagi nie zwróciła. Stała plecami do niego odwrócona, rozwiązując przy świetle łojówki sznurówkę i spodnicę.

Nagle obejrzała się, sama nie wiedząc dlaczego i spotkała się z ziemistą, przez namiętność wykrzywioną twarzą męża, który, podniósłszy się do połowy, z rękami opartemi o poręcze łóżka, utkwił w niej nieruchomie rozpalone źrenice.

— Thielu! — zawołała napół gniewna, napół przerażona.

Jak lunatyk, zbudzony brzmieniem swego imienia, oprzytomniał, wyjąknął kilka niejasnych wyrazów, zakopał się w poduszki i kołdrę na uszy naciągnął.

Lena podniosła się nazajutrz pierwsza. Bez wrzawy porobiła potrzebne do wycieczki przygotowania. Małego ułożyła w wózku, poczem zbudziła i ubrała Tobiaszka. Dowiedziawszy się, dokąd pójdą, chłopczyk uśmiechnął się. Thiel podniósł się dopiero, gdy wszystko było gotowe i kawa stała już na stole. Na widok poczynionych przygotowań uczuł przedewszystkiem niezadowolenie. Chętnie byłby się im jeszcze sprzeciwiał, nie wiedział jednak, od czego zacząć? I jakież mógłby podać powody, wystarczające dla Leny?

Powoli, coraz więcej promieniejąca twarzyczka Tobiaszka tak zaczęła oddziaływać na Thiela, że gwoli bodaj radości, którą dziecko na myśl o wycieczce tej objawiało, nie mógł już myśleć o oporze. Niepokój jednak nie opuszczał go w drodze.

Tobiaszek był niezwykle wesoły, w brunatnej swojej, pluszowej czapeczce skakał pomiędzy paprociami, usiłując, w trochę co prawda niezgrabny sposób, chwytać szklarki, kołyszące się na liściach. Kiedy stanęli na miejscu, Lena natychmiast zabrała się do roli. Woreczek z kartoflami, które przyniosła na zasiew, rzuciła na murawę, przyklękła i przesypała garść ciemnego piasku przez twarde palce.

Thiel spoglądał na nią z niepokojem.

— Więc jakaż jest?

— Dużo lepsza, niż kąt nad Spreą!

Ciężar spadł mu z piersi. Obawiał się, że będzie niezadowoloną.

Zjadłszy spiesznie grubą kromkę chleba, zrzuciła kaftan i chustkę i zaczęła kopać z szybkością i wytrwałością maszyny. W pewnych odstępach czasu wyprostowywała się i głęboko oddychała — zawsze jednak tylko na chwilę, chyba, że trzeba było nakarmić malca.

— Muszę obejść tor, zabiorę Tobiaszka — zawołał po niejakim czasie dróżnik z platformy budki.

— Co znowu! — odkrzyknęła — a kto przy małym zostanie? Zaraz mi tu przychodź — dodała jeszcze głośniej, podczas gdy dróżnik oddalał się z Tobiaszkiem.

W pierwszej chwili rozważała, czyby ich nie gonić, wstrzymał ją od tego jedynie żal straty czasu.

Tymczasem Thiel szedł z Tobiaszkiem wzdłuż toru; dziecko było bardzo wzruszone, wszystko wydawało mu się nowem, nieznanem. Chłopczyk nie pojmował, co znaczą wąskie, czarne, przez słońce ogrzane szyny, pytał bezprzestannie, dziwiąc się najbardziej dźwięczeniu słupów telegraficznych. Thiel znał tony wszystkich w swoim rewirze, z zamkniętemi oczami wiedziałby zawsze, w jakiej znajduje się stronie. Częstokroć przystawał, słuchając czarownych dźwięków, które płynęły z drzewa niby melodyjne chorały z wnętrza kościoła. Słup na południowym skraju rewiru brzmiał szczególnie pełnym i pięknym akordem. Był w nim jakiś natłok tonów, które dźwięczały bez przerwy, jednym ciągiem. Tobiaszek zaczął biegać wokoło tego zbutwiałego drzewa, chcąc przez otwór jakiś dostrzedz sprawców miłego dzwonienia. Dróżnika ogarnął pobożny nastrój. Nadto po niejakimś czasie wyraźnie odróżniał ton, przypominający mu głos nieboszczki żony. Wyobrażał sobie, że to chór dusz zbawionych, w którym i ona śpiewa — a myśl ta rozbudziła w nim tęsknotę, wzruszenie aż do łez.

Tobiaszek zapragnął kwiatków, rosnących na uboczu — Thiel uległ jego życzeniu, jak zawsze.

Zdawaćby się mogło, że na płaszczyznę zaróśla opadły płachty błękitnego nieba, tak przedziwnym gąszczem pokrywało ją niebieskie kwiecie. Motyle, niby chorągiewki barwne, fruwały i igrały bez szmeru po błyszczącej, białej

potępieniem dla dyrekcyi i tych wszystkich, którzy w tej nieczystej sprawie umaczali ręce.

Koleje państwowe wobec wyborów do Rady państwa. Minione wybory dostarczyły jeszcze jednego przykładu niezwykłej bezwzględności, z jaką postępują koleje państwowe wobec robotników. Wiadomo przecież, że do oddania głosu trzeba było czasu. Prywatne koleje, jak n. p. północna kolej, uwolniły na czas wyborów wszystkich funkcyonaryuszy; dlaczegóż więc tego samego nie uczyniły koleje państwowe? Chęć przeszkodzenia w głosowaniu doszła tu do tego stopnia, że zarząd warsztatów kolei zachodniej we Wiedniu wydał rozporządzenie, w którem zakazuje wszędzie uwalniać robotników w dzień głosowania; pozwala jednak prosić robotników o jedno- lub dwugodzinny urlop, który ma być zanotowanym w książce. W ten sposób chciał zarząd dowiedzieć się, którzy to robotnicy tak bardzo dbają o swoje prawa i później odpowiednio z nimi postępować... Tak wyglądają przedsiębiorstwa w rękach dzisiejszych państw.

O krótszy dzień roboczy. W niemieckim parlamencie wystąpiło kilku posłów konserwatywnych przeciwko ośmiogodzinnemu dniu pracy. Zwłaszcza posłowie Heyl i Stumm rzucali najrozmaitsze oszczerstwa na robotników, którzy tylko 8 godzin pracują, wykazując w ten sposób szkodliwość krótszego dnia roboczego. Otóż przed kilku dniami wysłali robotnicy firmy Feliks Lande w Berlinie, w której już od kilku lat pracuje się 8 godzin, pismo do owych posłów, w którem, zbijając owe zarzuty, powiadają: „Co do naszej fabryki, to możemy stwierdzić, że szynki w okolicy wcale się nie pomnożyły. Również użycie alkoholu zmniejszyło się raczej, niż zwiększyło. Ponieważ skrócenie czasu pracy dało robotnikom możność wzniesienia się na wyższy poziom umysłowy i moralny, przeto starają się oni czas pozostały spędzić nie w szynkach, ale na umysłowych rozkoszach i w gronie rodziny. Z tego względu kobiety są również przyjaciółkami krótszego dnia roboczego, a nie, jak twierdzą niektórzy, przeciwniczkami“.. Pismo to, podpisane przez wydział robotników fabryki, ma także potwierdzenie ze strony właściciela. W związku z tem podajemy, że w kilku miejscowościach w Anglii skrócono czas pracy w zawodzie drukarskim na 52 godzin tygodniowo. Robotnicy żądali 48 godzin na tydzień. Nawet w królewskim centralnym warsztacie w Monachium ustanowiono z dniem 1 marca 9-godzinny dzień roboczy z pozostawieniem dawnej płacy. Jedna tylko Austrya daremno wyczekuje jakiejś reformy w tym kierunku. Kolejarze austryaccy nie mogą doczekać się krótszej pracy, któraby im zwłaszcza tak bardzo się przydała.

Szwajcarski strejk kolejarzy. Do „Arbeiter-Zeitung“ nadeszła następująca wiadomość z Zurychu pod datą 12 marca:

Strejk robotników północno-wschodniej kolei rozpoczął się dziś rano. Na poprzednio odbytem zgromadzeniu, które liczyło przeszło 400 robotników i służby kolejowej, uchwalono zorganizować strejk, jeśli zarząd kolei nie przyjmie do 10 marca do godziny 10 rano żądań, wniesionych przez robotników szwajcarskich departamentowi kolejowemu. Zaznaczono tam, że kolej północno-wschodnia miała dosyć czasu przez cały rok na uniknięcie strejku, gdyby tylko była chciała. Sporna suma żądanej płacy wynosi 200.000 fr. Te same żądania zostały już dawno przez inne koleje uwzględnione. Ruch pociągów został dziś wstrzymany, na całej sieci kolejowej nie kursował ani jeden pociąg poranny. Rada związkowa szwajcarska wysłała telegram do sekretaryatu robotniczego, aby powstrzymać się od strejku, dopóki zarząd kolei czego nie postanowi. Robotnicy odrzucili jednak to żądanie i uchwalili wszyscy przystąpić do strejku. Wojsko stoi w pogotowiu w koszarach. Zarząd kolei północno-wschodniej został zwołany na posiedzenie na jutro (13 bm.). W dyrekcyach panuje zdanie, że strejk potrwa przynajmniej cztery dni. Strejkujący zachowują się spokojnie. Zarząd zamyśla sprowadzić zagraniczny personal. Naturalnie, jeżeli dostanie. Ale jest rzeczą pewną, że żaden zorganizowany robotnik kolejowy żadnego kraju nie będzie chciał działać na szkodę organizacyi i walki swoich braci szwajcarskich.

Pod pręgierz.

Skawina. W jaki sposób osławiony Kozłowski zdobywa sobie uznanie władz kolejowych za rzekome gorliwe wykonywanie swych obowiązków służbowych, dowodem tego fakt następujący: Dnia 28 lutego b. r. wyprawił pan Koloros, właściciel browaru w Skawinie, bal, na który sprosił okolicznych i miejscowych odbiorców piwa, a między innymi także i Kozłowskiego. W tym celu zameldował się w tym dniu Kozłowski chorym, co mu nie przeszkadzało być na owym balu i zajmować się polityką. Jak każdy dorobkiewicz i pachołek kapitalizmu, piorunował w oratorskim zapale na wszelkie prądy postępowe, a już naturalnie najwięcej dostało się socyalistom, którym nie szczędził nadotkliwszych razów, poprzysięgając im zupełną zagładę.

Chcąc swoje zamiary zaraz w czyn wprowadzić, tak opuściwszy ów bal razem ze swoim przeciwnikiem politycznym, niejakim Czapkiewiczem, rzucił się na tegoż na ulicy i aż do krwi go pobił i gdyby ich nie rozbrojono, byłby może uwolnił świat od jednego przewrotowca.

Czyż więc nie zasłużył Kozłowski na uznanie swych zasług i pochwały dyrekcyi? Wszak zaniedbywanie obowiązków służbowych przez tegoż pod najrozmaitszemi pozorami nie stanowi jeszcze w oczach naszej dyrekcyi przestępstwa, jeżeli natomiast oddaje się usługi rządowi i klasom panującym na innem polu, bo trzeba wiedzieć, że w oczach naszych władz tępienie socyalizmu jest stokroć większą zasługą, niż najgorliwsze wykonywanie obowiązków służbowych. Kozłowski już od kilku dni nie pełnił służby, gdyż uchodził za chorego, lecz zamiast leczyć się w domu, chodził po mieście i agitował na rzecz ks. Ponińskiego, a na jego miejsce przysłała dyrekcya substytuta do Skawiny. (Bodaj to oszczędność sztachańska).

Nas zupełnie nie dziwi, że Kozłowski tak się przejął obroną dzisiejszego porządku społecznego, bo i jakże się temu dziwić, kiedy widzimy, że tenże korzysta na tem. Wszak mamy aż nadto dowodów na to, że władze kolejowe puszczają mu płazem takie uczynki, za jakie innych srogo karzą.

Dalej widzimy, że człowiek ten z najskrajniejszego biedaka stał się zamożnym, wzbogacając się pod okiem tych władz w niezbyt uczciwy i legalny sposób.

Lecz żeby nie posądzono nas o przesadę, lub chęć czernienia, pozwolimy sobie ze sporego zapasu udowadniających faktów przytoczyć jeden, który w razie potrzeby gotowiśmy stwierdzić świadkami, a który dostatecznie dowodzi, w jaki sposób wykonuje Kozłowski swe obowiązki i jak dyrekcya toleruje jego postępowanie.

Oto zeszłego roku, w czasie żniw, Kozłowski będąc w służbie, zamiast ranżerować pociągi, zabrał całą partyę oddanych mu pod rozkazy szyberów, zaprowadził ich na swoje pole i kazał im wiązać zboże, wskutek czego pociągi, na czas nie zranżerowane, odchodziły spóźnione, na czem musiała cierpieć służba pociągowa.

Czyż to nie dosyć jeszcze wymowne?

Nakoniec musimy dodać, że w pracy dla dobra ludzkości dzielnie dopomaga Kozłowskiemu siostra jego żony, która pomimo, iż będąc nieco upośledzoną od natury, nienawidzi socyalizmu, a zwolennikom tegoż stara się dokuczać w najrozmaitszy sposób. Każdego, kto przyjdzie wypić kieliszek wódki, lub szklankę piwa, zaraz go indaguje o jego przekonania polityczne, mówiąc, że mu dotąd nie nie sprzeda, dopokąd się nie dowie, czy jest socyalistą.

Z tego przedstawienia rzeczy każdy widzi, że cała rodzina Kozłowskich, (nawet panna Antosia), wypowiedziała zaciekłą walkę socyalistom, a p. Kolosvary rad w duchu, że mu bodaj w Skawinie taka marna kreatura, jak Kozłowski pomaga w robocie i niby opóźnia zaszczepienie „zarazy“ socyalistycznej. *Przewrotowiec.*

Tuchów. P. naczelnik tuchowski chodzi już od dłuższego czasu w bardzo złym humorze i straszliwie wymyśla na tych socyalistów, co to tak skrzętnie dowiadują się o jego sprawkach i opisują je w „Kuryerze“. Podobno p. naczelnik odgraża się nawet, że będzie skarżył redakcyę i że musi „wsadzić“ redaktora. My nic przeciwko temu nie mamy; oświadczamy tylko, że się procesu nie boimy i potrafimy wszystkie fakta udowodnić przed sądem. Nie bardzo więc chce się nam wierzyć, aby tuchowski naczelnik był tak bohatersko nastrojony, ale jeżeli tak jest w rzeczywistości, to prosimy bardzo... Wszak, o ile wiemy, sam p. naczelnik co do owej pozostałej sumy powiada, że „na nic złego nie użył“, tylko na same dobre rzeczy. Lecz czy to zmienia istotę faktu?... Ciekawiśmy bardzo, czy dyrekcya krakowska, która tak gorliwie wysyła komisyę tam, gdzie ich nie potrzeba, zarządzi w tym wypadku to, co do niej należy, i wyśle może p. Abdermana dla zbadania stosunków na stacyi tuchowskiej?

W Krościenku żyje starszy człowiek, pensyonowany konduktor, który lat 11 pracował przy ck. kolei państwowej. W przeciągu tego czasu był ofiarą kilku nieszczęśliwych wypadków, które zniszczyły mu zdrowie do szczętu. Znękany, bezsilny musiał wystąpić ze służby i przeniesiony w stan spoczynku otrzymał od dyrekcyi krakowskiej 169 złr. 60 ct. Należało mu się jednak jeszcze za lat 5, które mu powinna była dyrekcya zaliczyć, jako inwalidowi. Toteż pokrzywdzony konduktor wniósł rekurs do ministerstwa kolei jeszcze w październiku z. r. na ręce dyrekcyi krakowskiej. Dotąd nie otrzymał żadnej odpowiedzi. I oto co mu dzisiaj zostało po 11 latach uczciwej pracy: głód i kij żebraczy. Biedny ten człowiek sam leczył się przez czas choroby i wydał na leki ostatni grosz, jaki posiadał; dziś pogrążony w największej nędzy przemyśliwa nad tem, jak to dobrze pracować dla państwa austryackiego...

---

korze pni, podczas gdy blado-zielone korony brzóz drgały cichym szelestem.

Tobiaszek miał kwiatki, ojciec przyglądał mu się, dumając. Od czasu do czasu podnosił oczy, starając się dojrzeć przez szpary między liśćmi niebo, które niby olbrzymia, nieskazitelnie błękitna, kryształowa czara podchwytywało złocistą jasność słońca.

Matka wciąż jeszcze kopała, gdy Thiel powrócił z Tobiaszkiem. Połowa była już obrobiona.

Pociągi następowały po sobie w krótkich przerwach czasu. Tobiaszek za każdym razem przyglądał się szalonemu ich biegowi z szeroko otwartemi ustami.

Obiad, składający się z ziemniaków i resztki zimnej wieprzowiny, spożyli w budzie. Lena była w dobrym humorze, a i Thiel usiłował zastosować się do sytuacyi. Podczas jedzenia zabawiał żonę różnemi rzeczami z dziedziny swego zawodu. Przed obiadem Lena skończyła kopanie; po obiedzie chciała sadzić ziemniaki. Uparła się, aby Tobiaszek doglądał teraz dziecka i wziął go ze sobą.

— Uważaj — wołał na nią Thiel, zdjęty nagłą trwogą — uważaj, żeby się zanadto do szyn nie zbliżył.

W odpowiedzi wzruszyła ramionami.

Dano sygnał nadejścia szląskiego pociągu pospiesznego. Thiel musiał się udać na posterunek. Zaledwie stanął przy baryerze, usłyszał szum zbliżającej się maszyny.

Pociąg był już widocznym — posuwał się naprzód — w niezliczonych, goniących się wzajemnie kłębach rozbijał się dym z czarnego komina. Wtem: jeden — dwa — trzy mleczno-białe promienie pary — i powietrze roznosi świst maszyny. Trzy razy, raz po razie, świst krótki, ostry, trwożący. Hamują — myśli Thiel — ale dlaczego? I znowu rozległo się przeraźliwe świstanie na trwogę, tym razem jednak nieprzerwanym ciągiem.

Thiel posunął się naprzód, aby spojrzeć po torze; mechanicznie wyciągnął z futerału czerwoną chorągiewkę, podnosząc ją przed siebie, wprost ponad torem.

— Jezu Chryste! czyżby oślepł? — Jezu Chryste — o Jezu, Jezu, Jezu Chryste! — cóż to? Tam! — tam pomiędzy szynami... Sta-ać! — zawołał ze wszystkich sił. Za późno; ciemna jakaś masa dostała się pod koła, które rzucały nią niby piłką gumową. Jeszcze kilka chwil — pociąg stanął.

Tor ożywił się. Maszyniści i konduktorzy biegli przez wir ku końcowi pociągu. Z każdego okna wyzierały ciekawe spojrzenia — tłum zbija się, posuwa się ku przodowi.

Thiel ciężko dyszy, podpiera się, aby nie upaść. Doprawdy, wołają go, znakami mówią — nie!

Krzyk, idący z miejsca nieszczęścia, rozdziera powietrze, po nim rozlega się ryk, rzekłbyś ryk zwierzęcia. Kto to?! Lena?! To nie jej głos, a jednak...

Zbliża się ku niemu spiesznie jakiś człowiek.

— Panie dróżniku!

— Cóż takiego?

— Nieszczęście!...

I cofa się, bo w oczach dróżnika odbywa się coś dziwnego. Czapka zsunęła się, czerwone włosy zdają się stawać na głowie.

— Jeszcze żyje, może jest jeszcze ratunek.

Rzężenie jedyną było na to odpowiedzią.

— Choć pan prędko, prędko!

Thiel zrywa się gwałtownym wysiłkiem, wypręża zmęczone mięśnie, prostuje się, twarz ma bezmyślną, martwą.

Biegnie, nie widząc śmiertelnie bladych, wystraszonych twarzy w oknach wagonów. Cóż go obchodzą? Nie dbał nigdy o zawartość tych wrzaskliwych skrzyń; słyszy tylko ryk Leny. Miga mu przed oczami, widzi żółte kropki, niby robaczki świętojańskie, a jest ich moc. Przerażony cofa się — staje. Z tańca owych robaczków występuje coś bladego, wiotkiego, krwawego. Czoło sińcami pokryte, sine wargi, po których czarna ścieka krew. Więc — on.

Thiel nie mówi, twarz jego pokrywa się brudną bladością, uśmiecha się, jakby nieprzytomnie, wreszcie pochyla się, wiotkie, martwe członki trzyma w objęciach; owija je czerwoną chorągiewką.

Idzie.

Dokąd?

— Po lekarza, po lekarza! — rozlega się wokoło.

— Weźmiemy go zaraz z sobą — woła pakmistrz, zestawiając w przedziale swoim łoże z mundurów służbowych i książek. — A więc?

Thiel nie wypuszcza dziecka z objęć. Nalegają na niego — napróżno. Pakmistrz każe podać nosze i wyznacza dla Thiela pomocnika.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Czyżby świetna dyrekcya krakowska nie zajęła się losem tego nieszczęśliwca? Czyż państwo koniecznie musi dawać takie gorszące przykłady prywatnym przedsiębiorstwom?

Stanisławów. Aniby się ktoś spodziewał, by satrapa stanisławowski, Heinrich, taką sobie śliczną zgraję dobrał. Trzeba również wiedzieć, że ludzie ci, u kacyka krówki, indyczki etc. zaganiali. Do zgrai też, by ją publicznie napiętnować i braciom ciężko pracującym do wiadomości, by się ich strzegli, podać — należą: Jan Czarnobil, bremzer, za denuncyacyę dekretowany (350 złr.), dalej za jego usługi, kacykowi oddane, wprawił swego brata Bazyla Czarnobila do kolei; nie czując się jeszcze być stosownie do swych zasług od „kacyka" wynagrodzonym, wyjednał przyjęcie do kolei swego ciotecznego brata Bazyla Chmiela, obecnie zaś robi starania i zabiegi jego brat najmłodszy, by, jeszcze przy wojsku służący, został przyjęty, co niechybnie nastąpi, bo i lizuniów klika się wzmoże i węszenie będzie łatwiejsze. Ludzie ci zaledwie się podpisać umieją, a po kilkanaście razy do przedwstępnych egzaminów bez skutku przystępowali, z czego sobie nic nie robią, bo czują, że na silnej „kacykowskiej" dłoni są podnoszeni. Mimo zatem wyraźnego przepisu § 9 instrukcyi służbowej, że krewni bez zezwolenia generalnej dyrekcyi w stosunku służbowym do siebie pozostawać nie mogą, oraz, że za zatajenie stosunku pokrewieństwa w jakimkolwiek stopniu mają być karani w drodze dyscyplinarnej. Dalej jest konduktor Anusz, głoszący się być wielkim postępowcem, najwięcej na kumów, rozumie się za dyspenzą, wygadujący, by się tylko od łatwowiernych czegoś wywiedzieć. Kreatura ta, już raz od kolei napędzona, wśliznęła się znowu obecnie i oddaje usługi lizaniem, by mieć choć na mamałygę, którą wyłącznie żyje! Słynny krzykacz i gestykulant konduktor Godek, obecnie za Zugsführera używany, z charakterem swego poprzednika Anusza dużo krzyczący, nawet „Kuryera kolejowego" po linii wozi ostentacyjnie, chwaląc się, gdy się nikogo i niczego nie boi, podczas gdy przed kacykiem grzbiet do ziemi gnie i po łapach go liże. Zachowując sobie do przyszłych numerów wybitniejsze postacie, nadmieniam tu jeszcze dwóch z placu szyberów, którzy także usługi kacykowi oddają; są nimi Teodor Pryk i Jakób Jakimczuk. Pierwszy tak w łaskę „kacyka" ufny, że cały personal szyberów nań się żali za grubiańskie obchodzenie się, których najwyszukańszemi wyrazami przezywa, a który jedynie za wysługiwania się różnym urzędnikom wpadł również „kacykowi" w oko, dowodem, że przez przeciąg czterech lat nawet najmniejszej kary nie zapłacił podczas, gdy inni w tym samym czasie niezliczoną ilość kar popłacili. Dziwi nas tylko, że „kacyk" dotychczasowego lizunia za tak wielkie usługi nie wynagrodził dekretem przynajmniej na 400 złr., co mu przecież łatwo z kumem w porozumieniu uczynić. Drugi zaś Jakimczuk jest zawołaną kurendą stacyjną. Wiadomość swoją, nieraz o najtajniejszych zarządzeniach od słynnego lizunia kuśmierza Kozickiego czerpiący, z którym się, jako z głową i przywódcą lizuniów, znosi i nam z głupoty udziela.

Tak zatem wygląda nie całkowita jeszcze kolekcyjka lizuniów, którą uzupełnić nie omieszkamy. Trzeba wiedzieć, że ludzie ci są u kacyka najinteligentniejsi i najlepsi, lecz pod jakim względem, niech czytelnicy osądzą.

Z magazynów kolei północnej.

Poprzedni nasz artykulik pod tym samym napisem nie przebrzmiał bez echa. Ekspedytor p. Maraszkiewicz uczuł się snać bardzo dotkniętym zarzutami, jakie mu tam zrobiono, i przysłał nam „sprostowanie". Pomijając już sam sposób, w jakim sz. p. ekspedytor „prostuje" owe zarzuty, a który świadczy w każdym razie o wielkiej delikatności i wysokiem wykształceniu autora, musimy z góry zauważyć, że robotnicy magazynowi twierdzą, iż p. Maraszkiewicz używa nawet gorszych wyrażeń, niż te, któreśmy przytoczyli. A teraz podatny, co właściwie p. Maraszkiewicz prostuje: oto, że „nie lizaniem i pełzaniem doszedłem do stanowiska, jakie przy kolei zajmuję, ale wypracowałem 40-letnią pracą uczciwą. Znając więc ciężką pracę, umiem uszanować każdego, tembardziej robotnika. Dalej twierdzi p. ekspedytor, że nikomu „nie kazał z pracy zdychać". W końcu zaznacza, że „od 28 lat mieszka w oficynach klasztoru Wizytek, ale ich administratorem nie jest, nie pobiera 2000 złr." — Jaką to wszystko dla nas ma wartość wobec tego, co powiadają o p. Maraszkiewiczu robotnicy, to każdy łatwo sam zrozumie.

Przejdziemy teraz do p. Czapa, który podobno również bardzo oburzony jest naszą niedyskrecyą, choć sprostowania nie przysłał. Otóż musimy zaznaczyć, że p. Czap zwrócił później należytość owym robotnikom, ale ci, co zarobili więcej, musieli zwrócić tę nadwyżkę na korzyść tych, co mniej dostali. Okazuje się więc z tego, że p. Czap sobie nie wziął tych pieniędzy, (czegośmy nigdy nie twierdzili), ale w każdym razie nie było wszystko w porządku, skoro robotnicy musieli dość długo czekać na zapłatę. Zresztą wina p. Czapa leży i w tem, że powinien był na 14 dni naprzód zapowiedzieć robotnikom, że odtąd robota w każdym magazynie będzie prowadzona oddzielnie.

Następnie zdaje nam się, żeśmy dostatecznie w poprzednim artykuliku wykazali niestosowność postępowania obu tych panów. Dziwnem jest tylko, że w takich razach panowie tacy, jak p. Maraszkiewicz lub p. Czap, wystawiają się, jako niewinne ofiary zemsty robotników, jako idealni ludzie. Nie chcemy zabierać sobie niepotrzebnie miejsca na polemikę z nimi, ale musimy na zakończenie stwierdzić, że wszystkie „sprostowania" wykazują tylko jedno, że — prawda w oczy kole...

KRONIKA.

P. Drewnowski, naczelnik c. k. warsztatów kolejowych we Lwowie, o którego idyotycznohumorystycznej kolportaży „Grzmotu" pisaliśmy w ostatnim numerze, bryka wciąż, jak źrebiak, któremu popuszczono cugli. Przed wyborami prowadził bardzo usilną agitacyę za jezuitami, krzycząc, że woli 10 pijaków, niż jednego socyalistę i t. d. Trudno się sprzeczać z p. Drewnowskim o jego gust — prawdopodobnie towarzystwo pijaków jest dla niego najodpowiedniejszem. Ale o jedno prosimy bardzo p. naczelnika: niech nie zapomni, że nie jest samowładnym panem i że znajdą się jeszcze ludzie, którzy potrafią ściągnąć mu cugle i przyprowadzić do równowagi. Dyrekcyi lwowskiej zaś polecamy tego pana w opiekę.

Historya kolei żelaznych monarchii austryacko węgierskiej wychodzi teraz w języku niemieckim; całość obejmuje 40 zeszytów po 50 ct. Pierwszy zeszyt zawiera ogólną historyę kolei i odznacza się malowniczym opisem, jak również dobremi ilustracyami.

Wyzysk urzędników kolejowych. Dyrektor kolei państwowej w Villach wydał rozporządzenie, które przedłuża dla urzędników dotychczasowe godziny służbowe i powiada, że naczelnicy stacyj powinni ściśle przestrzegać, aby urzędnik przez cały czas przeznaczony siedział w biurze. W końcu oświadcza, że kiedy jest większa robota, wówczas urzędnicy muszą dłużej siedzieć w urzędach i spełniać wszystko jak najdokładniej. Rozporządzenie to otworzy oczy nawet tym urzędnikom, którzy dotąd w dziwnem zaślepieniu uważają się za coś lepszego od robotnika. Dyrekcye kolejowe nie widzą różnicy między robotnikami a niższymi urzędnikami: to też ci urzędnicy powinniby przecież zrozumieć, gdzie mają szukać sprzymierzeńca w walce z wyzyskiem kapitału kolejowego.

Jak postępuje kolej południowa z kalekami? Przytaczaliśmy aż nadto często najrozmaitsze oburzające nadużycia, jakie zarząd kolei południowej popełnia wobec robotników, którzy zdrowie i siły stracili na jej usługach. Ostatni numer „Eisenbahnera" podaje znowu taki jeden wypadek, świadczący bardzo jasno o nikczemności dyrektora Zelinki, a niedbalstwie i lekceważeniu nowego generalnego dyrektora p. dra Egera. — Strażnik kolejowy w jednej miejscowości w Dolnej Austryi, Jan Kopszina, był przeszło lat 12 w służbie kolei południowej, straciwszy w niej raz wskutek nieszczęśliwego wypadku palce u ręki. W roku 1895 zachorował na reumatyzm i został po pewnym czasie oddalonym z roboty. Napróżno odtąd stara się o uzyskanie wynagrodzenia, które mu się słusznie należy; nie dostał ani centa znikąd, choć płacił regularnie wkładki do kasy chorych i t. d. Po długich prośbach uzyskał 20 złr. (!) jednorazowej zapomogi wraz z pismem p. Zelinki, że sprawa w ten sposób już zakończona. Zrozpaczony Kopszina udał się do starostwa w miejscu, gdzie pracował, prosząc o pośrednictwo w tej sprawie. Starostwo przedstawiło raz jeszcze całą sprawę dyrekcyi, dodając, że uważa proszącego za godnego wsparcia. Otrzymało na to list od p. Zelinki, w którym ten wspaniałomyślny pan oświadcza, że ku swemu wielkiemu zmartwieniu (!) nic zrobić nie może: przyznaje, że petent złamał sobie palce przy robocie, że zachorował, ale dodaje, że choroba ta była udana; zresztą — powiada — strażnik Kupszina oddalony został ze służby dlatego, że nie był do niej zdolny. Tak załatwił ostatecznie tę sprawę pan Zelinka, ufając, że znajdą się głupcy, którzy uwierzą jego kłamliwym rozumowaniom. Ale przebieg tej sprawy powinien już raz nauczyć wszystkich kolejarzy, że daremne są wszystkie prośby i błagania, zanoszone do wysokich dygnitarzy i dyrekcyj. Organizacya jedynie może nam pomódz w takich sprawach; przy silnej organizacyi nawet takie głowy, jak p. Zelinka, będą musiały się poruszyć i spełnić swą powinność.

Nieszczęśliwy wypadek. Józef Gala, robotnik na stacyi Prosnitz, mający lat 43, pracował przez 11 lat w magazynach i przy latarniach z płacą dzienną 85 ct. Dnia 5 stycznia 1897 r. w nocy po przybyciu pociągu, Gala chciał, jak zwykle, spełnić swą czynność: wszedłszy na dach pociągu, miał zamiar wsadzić sygnałową latarnię, gdy w tem spadł z dachu tak nieszczęśliwie, że rozbił sobie głowę. Bez przytomności przeleżał jeszcze do dnia następnego i wreszcie zakończył życie. Nieszczęśliwy zostawił żonę i kilkoro dzieci. Gala pracował bardzo ciężko i niezmordowanie; przychodził do roboty o godzinie 7 rano; pauza na śniadanie trwała do godziny 8. Odtąd aż do godz. 7 wieczór miał ciężką pracę w magazynie z $1\frac{1}{2}$ godzinną przerwą na obiad. Od godziny 7 wieczór do 7 rano trwała praca przy lampach i piecach. Po 36 godzinach mógł jedną noc wypocząć: wypoczynek niedzielny miał od roku 1895 co dwa tygodnie i to cały dzień, przedtem tylko pół dnia, również raz na dwa tygodnie.

Prawo stowarzyszania się, zabezpieczone w Norwegii. Norwegskie ciało prawodawcze uchwaliło, że przedsiębiorcy, którzy starają się przeszkodzić robotnikom w braniu udziału w życiu politycznem, jakoteż w przystępowaniu do organizacyi zawodowej, mają podlegać karze pieniężnej, lub więzienia. Prawo to, które musi być jeszcze przyjęte przez radę narodową, nakłada nareszcie po raz pierwszy hamulec na nieokiełzaną żądzę przedsiębiorców wydalania zorganizowanych robotników z roboty itp.

Ofiary strejku hamburskiego. Centralny komitet strejkowy w Hamburgu wydał odezwę, w której powiada: „Około 1200 ukaranych (o ile można obliczyć) należy nam zaraz wesprzeć. Blizko 260 procesów wydano robotnikom z powodu strejku, z których dotąd załatwiono zaledwie 65; w nich kary więzienne wynoszą już 10 lat. Nadto wydano 128 skarg z powodu zbierania składek, 23 z powodu kolportaży, a 94 z powodu przekroczenia przepisów policyjnych". Razem wniesiono więc około 500 skarg i 5000 kar policyjnych. Oto odpowiedź kapitalistów na żądania robotników hamburskich. Jestto rzeczywiście postępowanie nędznego zbója, który na pozór uderzeniem pałki obezwładnia i rozbraja ofiarę, a potem mści się na niej w najokrutniejszy sposób.

Z tragedyi życia. Przed sądem wiedeńskim rozegrała się niedawno następująca scena: Oskarżoną była Katarzyna Hauvold, wynędzniała staruszka, która wbrew zakazowi wróciła do Wiednia. Tu odkrył ją bystry wzrok „stróża porządku", kiedy właśnie, kręcąc się po ulicach miasta, szukała pracy. Oskarżona zaznała już nieraz rozkosze „szupasu", którym odwożono ją do jej miejsca rodzinnego. Za każdym razem jednak wracała, pędzona głodem i nędzą. Jej losy to znakomity typ losu każdego biedaka, którego z wielkiego miasta odszupasowują do małego miejsca rodzinnego. Nie znalazłszy tam zarobku, musi powracać, choć wie, że czeka go tu więzienie. Oto, jaka rozmowa toczyła się między sędzią a oskarżoną: Sędzia: Wszak pani już otrzymałaś liczne kary (nie mniej jak 27) za niedozwolony powrót. Oskarżona: Panie sędzio, toż ja w miejscu rodzinnem nie mogę wytrzymać, musiałabym tam umrzeć z głodu. Sędzia: Smutna to rzecz, ale zwracam pani uwagę, że muszę wciąż zaostrzać kary. Oskarżona (z rezygnacyą): Ach cóż, mnie już na tem nie zależy. Musi się przecież żyć. — Wyrok skazał ją na trzy miesiące aresztu. Ze łzami w oczach rzekła biedna kobieta: „Bóg zapłać!" i pozwoliła się spokojnie odprowadzić.

Stosunki na francuskich kolejach. Z początkiem bieżącego roku urządzono we Francyi urzędową ankietę w sprawie warunków pracy na kolejach. Ankieta obejmowała 174.864 robotników i urzędników, z tego około 19.000 kobiet, które zajmują się przeważnie strzeżeniem ramp kolejowych. Kobiety zarabiają przeciętnie oprócz mieszkania, 16—40 franków na miesiąc (tj. 7 złr. 20 ct.—18).

Mężczyźni pobierają, obok płacy miesięcznej, także od sztuki i od czasu. Płaca ta waha się między 25 a 55 ct. (tj. mniej więcej 12—28 ct. za godzinę. Miesięczna płaca wynosi od 15 do 375 franków i wyżej. (Wliczeni są tu i najwyżsi urzędnicy(. Największa część pobiera płacę od 86 fr. do 165 (a więc od 39—75 złr).

Brak pracy w Ameryce. Jedna z gazet amerykańskich, wychodzących w New-Jorku, maluje następujący straszny obraz panującego obecnie w Ameryce braku pracy: „Niezwykle ostra zima połączyła się z niezwykle wielkim brakiem pracy, aby położenie wielkiej części amerykańskich robotników uczynić wprost niemożliwem do zniesienia. Pisma są przepełnione opisami najokropniejszej nędzy, najstraszniejszego niedostatku. Miasta pełne są pozbawionych dachu. W licznych gromadach, grupami przeciągają przez ulice naszego miasta wygłodniali, zmarznięci ludzie. Liczba pozbawionych pracy w naszych wielkich miastach wynosi kilkaset tysięcy.

W Nowym Jorku leży 150.000 ludzi na bruku, nie mniej w Chicago. W Milwaukee pozostaje 12.000 rodzin, blisko 60.000 ludzi, na utrzymaniu gminy, w St. Louis 25.000 rodzin cierpi straszną nędzę. Setki giną na ulicach, ofiary zimna i głodu — i naszego społecznego porządku". Tak wygląda dzisiejsze społeczeństwo: Nieliczna garstka pożera w rozkoszy owoce cudzej pracy, a lud ginie w nędzy, przeklinając chwilę, w której się narodził taki „porządek"...

Druk A. Słomskiego w Krakowie

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Tomasz Tokarz